

Newsweek TEMAT Z OKŁADKI

SŁYNNY AKTOR O FILMACH, POLITYCE I STAROŚCI

NAWET NICNIEROBIENIE JEST PASJONUJĄCE

Nigdy nie byłem aktorskim pracoholikiem. Moje życie jest równie ciekawe jak role – mówi **DANIEL OLBRYCHSKI**

ROZMAWIA JACEK TOMCZUK ZDJĘCIA MIKOŁAJ STARZYŃSKI

NEWSWEEK: Myśli pan o starości?

DANIEL OLBRYCHSKI: Nie muszę myśleć, ja już ją czuję i walczę z nią codziennie, opóźniam. Dzień zaczynam od setki brzuszków. Czesio Lang, wybitny kolarz, poradził mi kiedyś, żebym codziennie robił 10 kilometrów na rowerze, bo to przedłuży mi życie. I tego też się trzymam. Mam w domu siłownię, są tam worki do boksu, wciąż z nich korzystam. A kilka kilometrów stąd stoi mój koń, od wiosny będę tam codziennie.

Jeżeli jakaś choroba mnie nie dopadnie, to jeszcze pożyję.

Starość to wstydlivy temat dla aktora?

– Najgorsze w starości jest to, że już jest bliżej niż dalej, chociaż fizycznie i psychicznie czuję się, jakbym miał 40 lat. Jestem wciąż ciekawy życia, a jednocześnie wiem, że jest go coraz mniej. Ta reszta ucieka coraz szybciej. I to wkurwia najbardziej.

Coś by pan chciał jeszcze zrobić, zagrać?

– Nie mam w sobie żadnej zachłanności, ani w życiu, ani w zawodzie. Lubię swoją pracę, wciąż występuję w czterech sztukach, mam przyjemność z grania, spotkania się z publicznością. To niemal fizjologiczna przyjemność, bo widownia daje dobrą energię, adrenalinę. Ale graniu nigdy nie było dla mnie najważniejszą sprawą. Fajnie, że wykonuję ten zawód, mogę z niego żyć na przyzwoitym poziomie, ale nigdy

nie byłem aktorskim pracoholikiem. Moje życie jest równie ciekawe jak role, nawet nicnierobienie jest pasjonujące.

Jerzy Trela mówił mi, że jak nie grał, to nie wiedział, co robić.

– To bym mu współczuł. Nieraz cieszyłem się, że przez kilka tygodni nie mam nic do roboty. Każda wolna chwila, kiedy nie gram, jest fajnym okresem.

Zawsze tak było?

– Tak. Tylko że teraz potrafię to nazwać. Sprawy prywatne zawsze były ważniejsze. Kiedy byłem z Marylą Rodowicz i coś zaczynało się psuć, ona musiała wyjechać na koncerty. Bardzo chciałem być blisko niej, a miałem akurat tydzień spektakli swojego monodramu. Proszę dyrektora Adama Hanuszkiewicza, żeby mnie zwolnił. „Danielu, ale nie mam co dać na afisz. Chyba że poprosisz Irenę Eichlerównę o zastępstwo. Może się zgodzi zagrać swój monodram”.

Eichlerówna była legendą teatru, wydawała się stara, choć miała pewnie wtedy mniej lat niż ja teraz. Dzwonię, tłumacząc, że muszę jechać za narzeczoną, ratować związek, a ona tym swoim śpiewnym akcentem: „Panie Danielu, to takie romantyczne, oczywiście, że wyjdę naprzeciw pana pragnieniom”. A ja pogałem za Rodowicz.

Mieliście szczęście, że wasz związek przypadł na czasy przedinternetowe. Dzisiaj nie schodzilibyście przecież z portali plotkarskich.



– To prawda. Byliśmy jak Brad Pitt i Angelina Jolie czasów PRL. Nie było portali plotkarskich, media nie informowały o naszym życiu prywatnym, nagraliśmy tylko jedną wspólną piosenkę, a wszyscy i tak wiedzieli, że jesteśmy razem i co robimy, że np. jedziemy konno z Drohiczyzna do Warszawy.

W Drohiczyźnie spędził pan dzieciństwo.

– To tam zaczęła się fascynacja sportem. Do dzisiaj pamiętam mistrzostwa Europy w boksie w maju 1953 r. Śledzę w radiu transmisję, nasi zdobywają pięć złotych medali, w tym trzy po zwycięstwie w finałach nad Ruskimi. A to wszystko dwa miesiące po śmierci Stalina. Grane podczas dekoracji Mazurki Dąbrowskiego prostowały Polakom plecy, i mnie również, chociaż miałem wtedy osiem lat. Marzyłem, żeby mi też grali kiedyś hymn, najchętniej w boksie, który wtedy kochałem najbardziej. Po przeprowadzce do Warszawy uprawiałem szermierkę, boks, biegi, zaliczyłem też hokej. Przez lata ruch był dla mnie czymś niezbędnym. Jak mycie zębów. Marzyłem, że będę mistrzem olimpijskim, ale nie wiedziałem, w jakiej dyscyplinie. Zmieniałem je i w żadnej nie zostałem nawet mistrzem Polski.

Debiutował pan w „Rannym w lesie” jako kapral Koral.

Równo 60 lat temu, w 1963 r. Pamięta pan coś z tego planu?

– Janusz Nasfeter wypatrzył mnie w telewizji, występowałem w Młodzieżowym Studiu Poetyckim. Miałem 18 lat, zdałem maturę, egzamin do szkoły teatralnej i w wakacje pojechałem na plan do Augustowa. Grałem młodego partyzanta, który walczy z własnym strachem. Szło mi dość kiepsko, byłem przekonany, że z mojej kariery filmowej nic nie będzie. Podziwiałem mojego starszego partnera Stefana Friedmanna, który mi imponował doświadczeniem i był fantastycznym kumplem. Kiedyś reżyser w hysterii krzyknął: „Stefan, pokaż Danielowi, jak to zagrać”. Gdyby to zrobił, dostałby pewnie ode mnie w zęby. Stefan zachował się wsporniale. Powiedział: „Panie reżyserze, nie potrafię”.

Jak zobaczyłem film, załamane się.

Dlaczego?

– Miałem wyobrażenie, jak wyglądam, mówię, ruszam się. A tu zobaczyłem gołą prawdę, ekran był bezlitosny: jestem taki wyblakły, mówię niewyraźnie, przez nos. Strasznie byłem sobą rozczarowany. Obiecałem sobie, że film będzie omijał szerokim łukiem.

Aż na pierwszym roku szkoły teatralnej przyszedł

Andrzej Wajda...

– W szkole trochę przywykłem do swojego ciała, wyglądu, głosu. A Wajda był wtedy reżyserem, u którego każdy chciał zagrać. I tak trafiłem na plan „Popiołów”. Musiałem wziąć roczny urlop dziekański. Wajda uczył mnie zawodowstwa, czytania tekstu.

Kiedy wróciłem, grzecznie próbowałem chodzić na zajęcia. Po pół roku rektor Jan Kreczmar zaprosił mnie do gabinetu. „Danielu, widzę, że ty się tutaj nudzisz, właściwie już jesteś zawodowcem. Masz jakieś propozycje filmowe?” – zapytał. Miałem i to kilka, ale tłumaczyłem, że mama najpierw kazała mi skończyć szkołę. A on, że mamę bierze na siebie. Za jakiś czas będzie egzamin eksternistyczny, to zdasz, teraz idź swoją drogą.

Szybko pan zdobył gigantyczną popularność i pozycję artystyczną. Zapłacił pan jakąś cenę?

– Nie narzekałem, same pozytywy. Miałem 20 lat i po premierze „Popiołów” byłem atrakcyjnym gościem wielu imprez, rozchwytywanym przez Księstwo Warszawskie, jak Zbyszek Cybulski złośliwie określił warszawskie salony towarzysko-artystyczne. Byłem dzieckiem tego Księstwa: bankiety, kolorowy świat, inny od peerelowskiej szarzyzny. Ale też to był mój uniwersytet, siedziałem przy stoliku z Tadeuszem Konwickim, Staszkiem Dygatem, Marianem Brandysem, Andrzejem Żuławskim... Słuchałem i uczyłem się od nich.

Szybko stał się pan kimś więcej niż aktorem. Kazimierz Kutz mówił panu: „Jesteś, kurwa, kawałkiem flagi narodowej, więc musisz grać role symboliczne”. Jak pan się z tym czuł?

– Kazio powiedział to, kręcąc „Sól ziemi czarnej” w 1969 r. Jak przyjechałem na plan, uprzedził, że rola jest niewielka, ale właśnie symboliczna: masz przybyć do powstańców śląskich ze skradzioną armatą, wskoczysz na konia, krzykniesz „ognia” i nim się obejrzysz, zginiesz, a Ślązaczki będą nad tobą płakały. Tak że możemy dzisiaj spokojnie się napić, bo odpoczniesz jutro w trumnie. Przełom lat 60. i 70. to było w moim życiu szaleństwo. Daj Boże każdemu aktorowi zagrać połowę tego co ja. Miałem szczęście do reżyserów, tematów, filmów.

Najbardziej był pan kojarzony z Wajdą i Hoffmanem.

– Pamiętam początek lat 70. W dzień wysadzałem jako Kmicic u Jerzego Hoffmana kolubrynę, na murach klasztoru broniłem Matki Boskiej Częstochowskiej. A na nocne zdjęcia przywożono mnie do Warszawy do studia i u Andrzeja Wajdy byłem Panem Młodym w „Weselu”. W oczekiwaniu na zdjęcia do moich wąsów szlachcica XVII-wiecznego dolepiano mi młodopolską bródkę i kładłem się zmęczony do łóżka w dekoracji filmu, żeby się przespać. Któregoś razu otwieram oczy i widzę, że obok mnie leży piękna, rozłożysta kobieta. Okazało się, że to filmowa Panna Młoda, czyli Ewa Ziętek, która też przysypiała. Wajda zobaczył moje autentyczne zdziwienie i od razu powiedział: tak mi graj, że budzisz się kompletnie zdumiony, z kim tu jesteś w łóżku.

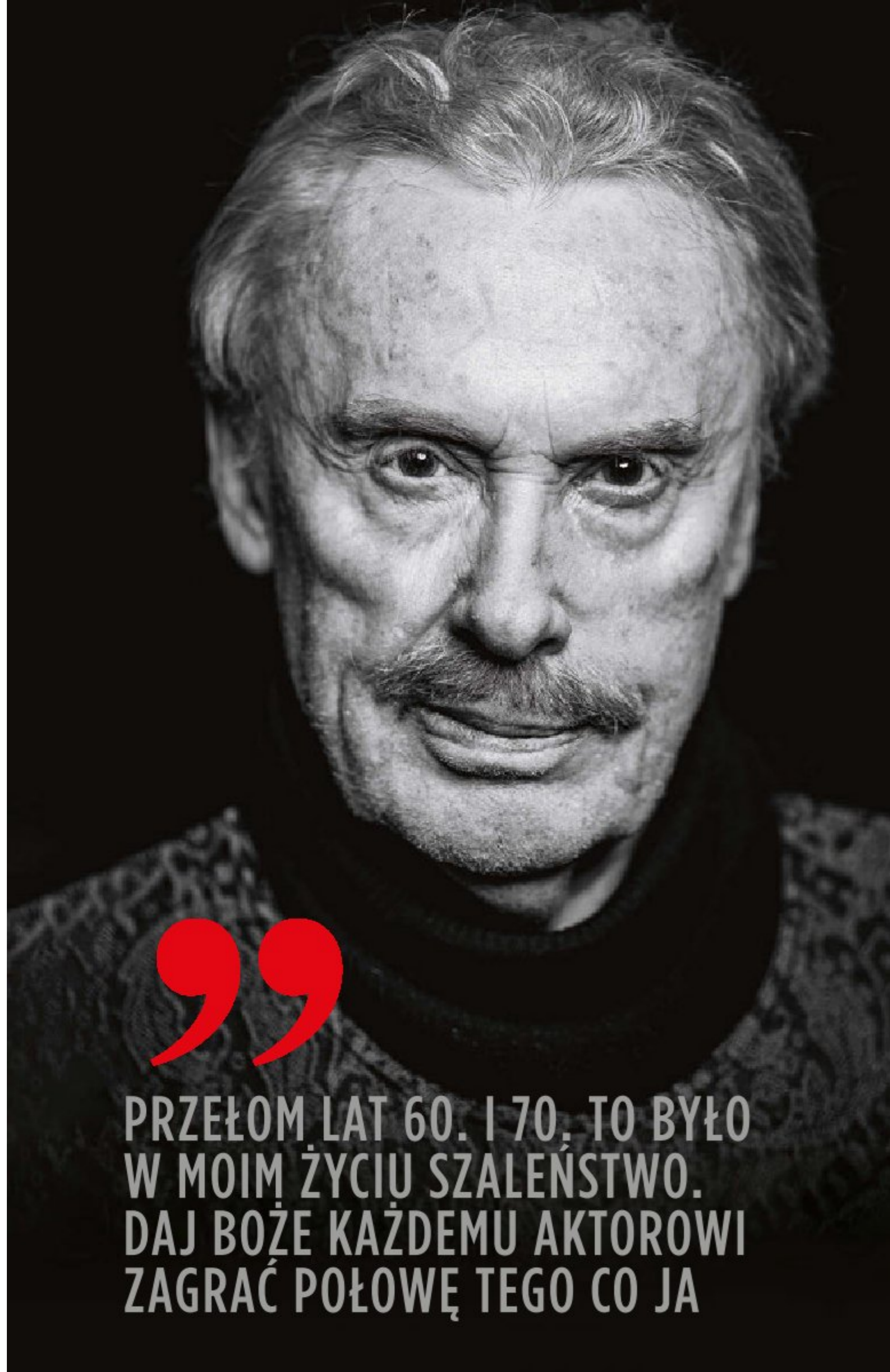
Premiera filmowego „Wesela” odbyła się w Teatrze Słowackiego w Krakowie, potem przyjęcie u Wierzyńka. Ledwo coś przekąsiłem, wypłem toast i biegłem do taksówki, która mnie zawiozła na granicę z socjalistyczną Republiką Ukrainą. Przeszedłem na piechotę granicę, a po drugiej stronie czekał samochód z produkcji „Potopu”, który całą noc wiozł mnie pod Kijów, gdzie od południa siedziałem w siodle i brałem udział w kręceniu wielkiej bitwy.

Co pan zawdzięcza Wajdzie?

– Wszystko. To dzięki niemu zobaczył mnie cały filmowy świat. „Popioły” otwierały festiwal w Cannes. Miałem 20 lat, jak tańczyłem z Sophią Loren. To tam mnie zobaczyli Kirk Douglas czy Nicholas Ray, reżyser „Buntownika bez powodu”, który obiecywał mi rolę w filmie o zmarłym Jamesie Deanie.

Co pan na to?

– Nie byłem gotowy. W Polsce poza narzeczoną czekały na mnie konkretne propozycje na parę lat w przód, a nie obietnice. Zresztą on próbował mnie wyciągnąć z Polski jeszcze kilka lat później. Mieszkałem z ówczesną narzeczoną w mieszkaniu na Mariensztacie po Leopoldzie Tyrmandzie, który właśnie wyemigrował do Londynu. Chodziłem w jego bikiniarskich skarpetkach. Któregoś dnia



PRZEŁOM LAT 60. I 70. TO BYŁO
W MOIM ŻYCIU SZALEŃSTWO.
DAJ BOŻE KAŻDEMU AKTOROWI
ZAGRAĆ POŁOWĘ TEGO CO JA

zadzwoił Ray, mówiąc, że jest w Belinie Zachodnim i jutro wieczorem ma spotkanie z producentem, który chce mnie zobaczyć. Mam wsiadać w auto i przyjechać. Powiedziałem, że najwcześniej za sześć tygodni. Zdziwił się: „Co ty, piechotę będziesz szedł do Berlina?”. Nie mógł zrozumieć, że tyle trwa w PRL wydanie paszportu. Zresztą państwowy Film Polski, który reprezentował mnie na Zachodzie, pilnował, żebym nie zrobił międzynarodowej kariery, bo wtedy stałbym się niezależny. Reżyserom, którzy proponowali mi role, mówiono, że nie mam czasu. Po latach dowiedziałem się od Bernardo Bertolucciego, że chciał mnie do „Wieku XX”, żebym towarzyszył młodemu Robertowi De Niro. W zamian zagrał Gérard Depardieu, a film był jego przepustką do wielkiej kariery.

Wracając do Wajdy – to był geniusz. Wie pan, czego aktorowi brakuje na planie filmowym?

Publiczności?

– Tak. Nie wyobrażam sobie, żeby aktor mógł zagrać na najwyższym poziomie przy pustej widowni, to ona go niesie. A na planie jest tylko ekipa. To reżyser musi zastąpić widownię, dać aktorowi poczucie, że jest kochany, wyczekiwany, rozumiany, oklaskiwany. Wtedy aktor gra najlepiej. Wajda umiał dać to poczucie aktorowi jak nikt inny. Nie wiem, czy to było spontaniczne, czy wyrachowane. Wszystko jedno – działało. Ale potrafił to połączyć z byciem surowym krytykiem aktora, chłodnym obserwatorem. Andrzej był jak rasowy jeździec. Jego końmi byli aktorzy: kochał

nas i wymagał. Był moim mentorem: artystycznym, życiowym, politycznym.

W marcu 1968 r. kręciliście w centrum Warszawy „Wszystko na sprzedaż”, a na Uniwersytecie Warszawskim trwał strajk.

– Nie byłem wtedy studentem, ale już znanym aktorem. Jednak za strajkami stali przecież moi koledzy, jak Adam Michnik, z którym znałem się z Liceum Batorego. Mieliśmy zdjęcia w galerii na ul. Mazowieckiej. Ciągle biegałem na Krakowskie Przedmieście zobaczyć, co się dzieje, nawet dać się spałować, bo to był wtedy zaszczyt.

Czuł pan jakiś dyskomfort: robicie artystowski film o miecie Cybulskiego, a obok dzieje się prawdziwa historia?

– Oczywiście, powiedziałem Wajdzie, że w tej chwili, jeżeli mam grać siebie, to powinien mnie sfilmować w studenckiej czapce na 30. piętrze Pałacu Kultury i Nauki, wygłaszającego monolog Kordiana z Mont Blanc. Wajda tylko westchnął. Nie było na to szans. Atmosfera była taka, że producentka bała się, że za to, że na planie pojawia się w studenckiej czapce, mogą nam przerwać zdjęcia.

W 1976 r. podpisał pan protest przeciw prześladowaniom robotników w Radomiu.

– Byłem już uświadomiony politycznie. Wysłannikiem do mnie został Andrzej Seweryn, związany z opozycją. Byłem wtedy z Marylą Rodowicz, która też chciała podpisać. Ja byłem za, ale Andrzej mądrze odradzał: „Dla sprawy pani podpis byłby wielką wartością. My, aktorzy, sobie poradzimy, nie zagramy w kinie, to zawsze zostanie nam teatr. Ale jak pani, gwiazdzie piosenki, odetną media, to gdzie pani wystąpi?”. Maryla chciała nam oczy wydrapać, ale Andrzej wykazał się wielkim rozsądkiem.

Mnie wzywano na różne przesłuchania, najgorzej przeżył to ojciec. W nocy esbecy dzwonili i mówili: „Pana syn jutro umrze” i inne potworności. W końcu zostałem wezwany do ministra kultury Józefa Tejchmy, który kulturalnie uświadomił mi, że list, który podpisałem, nie jest zgodny z polską racją stanu. Ja powołałem się na piąte przykazanie Dekalogu i się rozstaliśmy. Poprosiłem tylko, żeby nie dzwono do ojca.

Tejchma niedługo potem został wyrzucony z rządu.

– Po latach kręciłem film w Grecji. Podczas lotu do Aten jakiś pasażer agresywnie się zachowywał, uderzył dwie stewardesy, wbiegł do kabiny pilota, było podejrzenie, że to terrorysta. Zadziałem odruchowo, jak człowiek uprawiający sporty walki. Po krótkiej walce znokoutowałem go, a samolot zawrócił. Kiedy nad ranem wylądowaliśmy w Atenach, czekały na mnie telewizje kilku krajów, a w hotelu – bukiet kwiatów, butelka szampana i wizytówka: „Jak zwykle można na Pana liczyć. Ambasador Józef Tejchma”. W Polsce broniłem robotników, a tutaj całego samolotu.

Odsunięto pana od filmu za ten list.

– Miałem szlaban w telewizji. Ale tego wtedy za bardzo nie poczułem. Byłem bardziej zajęty noszeniem gitary za Marylą Rodowicz niż pracą.

Przetwał pan do stanu wojennego?

– Dla mnie 13 grudnia to data szczególna. Tego dnia po raz pierwszy wystąpiłem w polskiej telewizji i recytowałem „Kwiaty polskie” Tuwima. W 1981 r. przypadała 20. rocznica tego występu, wynająłem restaurację, zaprosiłem przyjaciół z Polski i świata.

Z Paryża miał przylecieć Claude Lelouche, z Niemiec Volker Schlöndorff, z Moskwy Nikita Michałkow... Budzę się w niedzielę, śnieg prósz, łapię za słuchawkę, żeby się dowiedzieć, czy loty nie będą opóźnione, a tu głucha cisza. W telewizji generał ogłasza stan wojenny.

Parę dni później przyszedł Józef Rybicki, były szef Kedywu AK Okręgu Warszawa, działacz KOR, z listem potępiającym stan wojenny. Znowu podpisałem. Moja ówczesna żona, Zuzia Łapicka, złapała się za głowę: teraz to już na pewno nie wypuszczą mnie do Paryża, gdzie miałem zagrać w filmie Josepha Loseya „Pstrąg”. Oczywiście, zostałem wezwany na Rakowiecką, zrobiono mi pranie mózgu ze straszaniem, szantażowaniem i zakazem chodzenia na procesy działaczy Solidarności. A ja już byłem umówiony z Jurkiem Popiełuszką, kapelanem Huty Warszawa, na taki proces. Zjawiam się w sądzie, siadamy z Jurkiem w pierwszym rzędzie, a ja wpatruję się w obfity biust pani prokurator, doprowadzając ją do konsternacji, aż zaczęły się jej plątać kartki oskarżenia i język. A Jurek tylko szepnął: „Bardzo dobrze, już masz moje rozgrzeszenie”.

Ale do Paryża pan poleciał.

– Nie doceniłem Loseya, okazał się wspaniałym facetem – powiedział, że nie zacznie filmu, dopóki mnie nie wyciągną z Polski. Uruchomił polityczne kanały, oparło się o prezydenta Mitterranda i dostałem zaproszenie po paszport i bilet. W przeddzień wylotu jeszcze pognaliśmy na mszę za ojczyznę do kościoła św. Stanisława Kostki. I przy ołtarzu wyrąbałem wiersz Norwida, który zaczynał się słowami: „Ty! Prawd płomienie wzięwszy za sztylety, / Śmiesz jeszcze mniemać, żeś wódz – żeś generał! / O! niewolniku – stój – cofaj bagnety”. Moja żona się rozplakała: jutro cię na pewno nie wypuszczą.

I co?

– Musieli mnie puścić, sprawa była załatwiona na zbyt wysokim szczeblu, ale upokorzono mnie rewizją osobistą. Cały samolot czekał, a ja musiałem rozebrać się do naga, celnik założył teatralnie rękawiczki, krem na palec, który miał mi wepchnąć wiadomo gdzie. Ale nie wepchnął. W Paryżu czekali na mnie Losey, Jeanne Moreau, Isabelle Huppert i przedstawiciel prezydenta.

Pan się ciągle interesuje polityką?

– Oczywiście, byłem pod wrażeniem tekstu Staszka Brejdyganta w „Newsweeku” o Jarosławie Kaczyńskim. Napisałem kilka zdań. Mogę przeczytać?

Oczywiście.

– Ostatnie wypowiedzi Jarosława Kaczyńskiego prowokują pytanie, czy jest on aż tak nikczemny, czy osiągnął wysoki poziom demencji. Jako obywatel mam prawo żądać informacji o stanie umysłu człowieka, który wpływa na los Polaków, wołałbym, żeby nad nim czuwało wiarygodne konsylium psychologów lub psy-

chiatrów. Ostatnie wypowiedzi o Julii Przyłębskiej i jej prawie do zasiadania w fotelu prezesa Trybunału Konstytucyjnego budzą podejrzenie, że prezes PiS nie wie, że Polska to państwo demokratyczne, a on sam stracił poczucie, gdzie jest geograficzny i polityczny Wschód, a gdzie Zachód. Jeszcze parę lat temu kojarzyłem go z Ryszardem III: po trupach idzie do władzy, a potem za wszelką cenę chce uniknąć kary za zbrodnię niespotykane w historii podzielenia naszego narodu. Teraz ta metafora nie sprawdza się, jego nikczemność może tylko usprawiedliwić diagnoza demencji.

Służby radzieckie przez lata wyłaziły ze skóry, żeby rozbić polski Kościół. Udało się dopiero w czasach wolności i demokracji

ojcu Rydzykowi. Założyciel Radia Maryja nigdy nie ukrywał, że pierwsze częstotliwości przekazali mu funkcjonariusze Armii Czerwonej, którzy opuszczali NRD. Od początku program stacji, polegający na niszczeniu autorytetów, zniechęcaniu Polaków do NATO i UE, pachniał mi ruską dywersją. Przez lata obserwowałem rosyjskie media, slogany z tamtejszych propagandowych gazet były powtarzane w toruńskiej szczekaczce.

Na tę zarazę nie reagowali ani mądrzy politycy, ani polski Kościół, ani Jan Paweł II. A przecież Rydzyk jawnie gwałcił polską rację stanu, a miliony jego zwolenników głosowały potem na prawicę. Żądza władzy była silniejsza od rozumu i moralności. Do Torunia piel-

grzymowali prawicowi politycy, których nie podejrzewam o naiwność i niewiedzę, w czym interesie nadaje ta stacja. Kolejnym punktem było przekonanie Polaków, że w Smoleńsku miał miejsce zamach. Niebawem skłócenie narodu polskiego nie udało się ani zaborcom, ani Hitlerowi czy Stalinowi. Skłócenie narodu to podstawowa metoda służb rosyjskich specjalnych od wieków. W Polsce Macierewicz i Kaczyński działali jakby w ich interesie.

Ma pan kontakt ze swoimi przyjaciółmi Rosjanami?

– Dzwoniłem niedawno do Michała Barysznikowa, wybitnego tancerza. Był ogromnie przygnębiony. Nawet nie chciał za długo rozmawiać. Czułem, że jest mu głupio jako Rosjaninowi, chociaż od lat mieszka w Nowym Jorku. Marina Vlady, żona Włodzimierza Wysockiego, nie chciała się ze mną zobaczyć, kiedy byłem ostatnio w Paryżu. Wykręciła się chorobą. Bo ci wielcy Rosjanie, i na emigracji, i w Rosji, po napaści na Ukrainę wstydzą się swojej ojczyzny, władz, ale też narodu, który popiera swojego prezydenta. I mają rację. Bo ten naród jest współwinni tej wojnie.

W zeszłym roku wysłałem krótki list do dwóch moich wybitnych przyjaciół, reżyserów Nikity Michałkova i Andrieja Konczalowskiego. „Cały świat zna waszą wspaniałą twórczość filmową i wartości, które wspieraliście swoim talentem. W tej chwili te wartości brutalnie łamie na oczach całego świata wasz prezy-



CO ZAWDZIĘCAM
WAJDZIE? WSZYSTKO.
TO DZIĘKI NIEMU
ZOBACZYŁ MNIĘ CAŁY
FILMOWY ŚWIAT

dent. Jako wasz przyjaciel oczekuję od was gwałtownego publicznego protestu przeciwko temu, co wyprawia prezydent Putin. Jeśli w waszym kraju taki protest można potraktować jako bohaterstwo, to uważam, że czas na takie bohaterstwo przeszedł. Wasz polski brat, Daniel Olbrychski”.

Jaka była reakcja?

– Po paru tygodniach zadzwonił Konczałowski, dał mi do zrozumienia, że rozumie moje argumenty. Ale w sytuacji prywatnej, w jakiej się znajduje, nie może pozwolić sobie na żaden protest ani wyjazd. Ma dorosłą córkę w śpiączce. Nikita zatkał sobie uszy, zamknął oczy. Wyparł. Zresztą z Michałkowem sprawa też nie jest taka prosta. Na początku lat 80. spotkałem się z nim w Cannes, gdzie przyjechał z delegacją radziecką. Był przez nią bojkotowany, bo zadawał się ze mną, politycznym emigrantem. Płynęliśmy wpław na przyjęcie do jachtklubu po drugiej stronie zatoki, żeby się trochę otrzeźwić, bo piliśmy do rana. Smokingi jechały taksówką. Mogliśmy rozmawiać szczerze. Przekonywał mnie np., że to Niemcy mordowali w Katyniu. Co nie przeszkadzało mu wpłynąć po latach na Putina, żeby zgodził się pokazać „Katyń” Wajdy w rosyjskiej telewizji państwowej.

Zbliża się pan do osiemdziesiątki. Robi pan podsumowania?

– Nie. Jak się żyje tyle lat, to musi być coś, czego się żałuje, jakichś słów, gestów, roli. Gdybym zagrał obok Roberta De Niro, jak chciał Bertolucci... Ale czy to by zmieniło moje życie? Wątpię.

Spotkałem wielu cennych ludzi, przyjaźniłem się z najciekawszymi żyjącymi twórcami. Za panem stoi zdjęcie Włodzimierza Wysockiego, mojego rosyjskiego brata. A obok pudełeczko po kremie. W środku jest garść ziemi z jego mogiły, bo nie mogłem być na pogrzebie, i kosmyk włosów, który ucięła mu jego żona, Marina Vlady. W garażu wisi siodło kowbojskie, które dostałem od Kirka Douglasa. Tutaj na ścianie dedykacja od Artura Rubinsteina. Tam zdjęcie z Jeanem Paulem Belmondo, a obok z moim przyjacielem Alainem Delonem.

Boi się pan śmierci?

– Raczej choroby, i to bliskich, bo ze swoją dam sobie radę. **N**

jacek.tomczuk@newsweek.pl

DANIEL OLBRYCHSKI (ROZNIK 1945) BYŁ ULUBIONYM AKTOREM ANDRZEJA WAJDY, KTÓRY OBSADZAŁ GO OD „POPIOŁÓW” (1965), PRZEZ „ZIEMIĘ OBIECANĄ” (1974), AŻ PO „ZEMSTĘ” (2002). GENIALNIE WCIELIŁ SIĘ W KMICICIA W „POTOPIE” (1974) I WŁAŚNIE NAGRYWA AUDIOBOOK Z POWIEŚCI SIENKIEWICZA. MIESZKA W PODKOWIE LEŚNEJ